

A gdybyśmy umarli...

To co by było właściwie? Nachodzą nas czasem takie myśli w listopadzie? I co z nimi robimy? Chcę dziś zapytać, patrząc na płomyk świeczki, którą zapaliłam... nie, nie na grobie mojej babci czy cioci. Przy własnej poduszce. Bo naprawdę bardzo wskazane jest czasem tak się obudzić do myślenia.

Więc gdybyśmy umarli, myśląc czasem, na początku nie odnosimy się do naszych wewnętrznych porządków moralnych czy religijnych. Sądzę, że najpierw myślimy, o tych, co zostaną. Jak małe są jeszcze dzieci, na ile samodzielni mężowie czy żony. Jak młode jeszcze nasze mamy, a czasem nawet babcie. I czy by nam to darowali, zwłaszcza, gdyby mieli poczucie, że nie zrobiliśmy **naprawdę** wszystkiego, by takim faktem zapobiec.



Potem zastanawiamy się, co byśmy stracili. Czego nie zdążyliśmy i nie zdążymy już zrobić. O niezrealizowanych marzeniach, planach, ideach. O ludziach, których skrzywdziliśmy i tych, których za mało nagradziliśmy dobrymi słowami, myślami i czynem. O książkach, które chcieliśmy napisać, podróży na Grenlandię, truflach, których nie skosztujemy i uśmiechach portretów w Luwrze, których nie zdążymy zarejestrować pod powiekami.

Potem część z nas powoli zaczyna odkopywać w sobie porządki Dekalogu, ewangelicznych błogosławieństw, uśmiech Madonny ze swojej książeczki od Pierwszej Komunii. Inni myślą o karmie, medytacji i wcieleniu, w którym przyjdzie im się odrodzić. Myśl idzie do pytania, nieuchronnego tym razem, których z tych porządków (których mamy do wyboru przecież

znacznie, znacznie więcej) działa Tam, gdy oddech gaśnie, fale mózgu stygną, a serce zaczyna się poddawać nieodwracalnemu prawu rozkładu. I, co jeśli wszystkie te konstrukcje moralno-medytacyjne to wielka „ściema”? Jeśli prawdą jest tylko to, czego uczyli nas na uniwersytetach, że tak naprawdę nic nie wiadomo, ale nie powinniśmy sobie obiecywać za wiele? Cisza, ciemność, błysk na chwilę, potem nic... „Ciemność widzę, ciemność...”.

No, tak, ale jeśli Tamto działa? Którekolwiek „Tamto”, lub, co wcale nie takie trudne do uwierzenia, wszystkie naraz. Panteistycznie, eklektycznie i transkosmicznie zarazem. Po prostu wchodzimy w Bóstwo, jak nie miałoby na imię. No, i jednak ta myśl, że Jezus, Jahwe, Budda, Wisznu, Siwa czy Allach jednak może nam zadać parę krępujących pytań. Nawet Wielka Kosmiczna Matka, jeśli to dla niej wieczorem ustawiamy miseczki, bo przecież kobiety bywają jeszcze bardziej dociekliwe...

Więc zasadniczo, najlepszym wyjściem z tego przebudzenia przy świeczce, byłoby rozpoczęcie tych wszystkich działań, o których zapomnieliśmy, na które brak odwagi.

Naprawienie relacji, dzwonienie do mamy, kupowanie żonie kwiatów i zabieranie syna do zoo. Rozwijanie talentów, realizacja systematyczna, choć niepośpieszna, planów i marzeń, budowanie w swoim wnętrzu konstrukcji, której nic nie zmiecie. A ten płomyk dodaje jej blasku, bo nie oświetla tam niczego, co musielibyśmy chować przed światem czy bóstwami.

Czy przyszło Państwu kiedyś do głowy, że na skutek takich prostych i nie bardzo spektakularnych działań na świecie mogłoby się zrobić niezadługo **JASNO** po prostu? Bo przecież każdy z nas, ciszej czy głośniejsz, w coś jednak wierzy. I coś w nim płonie.

Życzę wszystkim jasnych i pewnych płomieni. Pomagają we wszystkich życiowych sytuacjach. I potem **NA PEWNO** też.

Zofia Kościelna